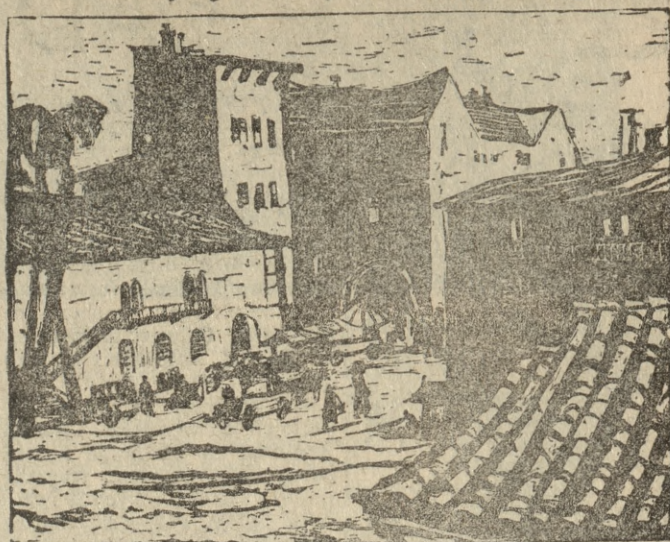


W trzechsetną rocznicę walk narodowo-wyzwoleńczych z najeźdźcami szwedzkimi — na ziemi wielkopolskiej

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 26 II 1956
Rok VII Numer 8

Z wizytą u Kaji i Stasińskiego



Dwa drzeworyty z Jugosławii Z. Kaji



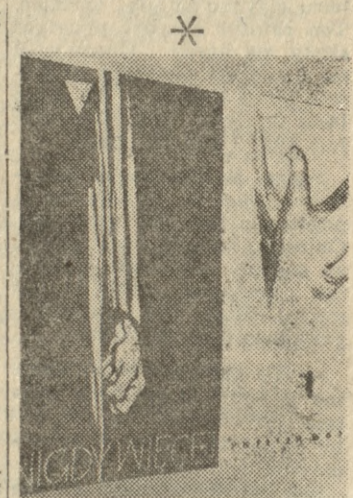
Wystawione rzeźby J. Stasińskiego — poniżej medalion



Nie, nie w ich pracowniach, a w CBWA na wystawie prac naszych cenionych artystów-plastyków. Zdobywa nagrody młodych za 1955 rok, Józef Stasiński w szerokim wachlarzu rzeźb i plaket daje nam pogląd na swe duże artystyczne osiągnięcia. Sam fakt, o czym zresztą wspominaliśmy, zdobycia pierwszej, międzynarodowej nagrody za odznakę na V Festiwal, wystawia Stasińskiemu bardzo wysoki notę. Zresztą ekspozycje same mówią o dojrzałym talentie; Józef Stasiński nie „powiedział jeszcze ostatniego słowa”. Oczekujemy, i mamy prawo oczekiwać, po młodym rzeźbiarzu wielu jeszcze prac, o których będzie głośno.

Zbigniew Kaja (laureat tej samej nagrody) daje nam przegląd przede wszystkim plakatu iak dobrze nam znanego z publikacji. Kaja to mistrz grafiki użytkowej, plakatu w szczególności. Niedawni goście artystyczni z NRF, wyrażali się o Kaji tylko w superlatywach. Ale i seria drzeworytów z Jugosławii pełna jest artystycznych wzruszeń.

Poznańskie środowisko kulturalne może być dumne z tych młodych artystów — to więcej niż pewne. (now)



Jeden z wielu doskonałych plakatów Zbigniewa Kaji.

Ludwik Gómelec

Największa bitwa powstańcza

Magnaci i szlachta wielkopolska zdradziła swój kraj, poddając się bez walki Szwedom pod Ujściem w 1655 r. Ze względów klasowych ratowania i ochrony swych majątków uznali króla szwedzkiego Karola X Gustawa swym panem. Podskarbi koronny Bogusław Leszczyński oświadczał publicznie: „Nie abam, kto na tronie, heretyk czy katolik, bo mnie z każdym będzie dobrze”.

Masy ludowe w Wielkopolsce, zwłaszcza chłopów i mieszczaństwo, stanęły w przeciwnym obozie: antyszwedzkim i antyfeudalnym. Najazd szwedzi na Polskę w latach 1655—1660 nie był niczym innym, jak agresją szwedzkich feudałów. Tak więc feudałowie polscy znaleźli wspólny język z feudałami szwedzkimi na gruncie jednakowych interesów klasowych. Dla wyzyskiwanych mas chłopów i mieszczańskich groziło w razie zwycięstwa szwedzkiego dalsze wzmocnienie klasy

wyzyskiwaczy i wzrost ucisku społecznego.

Z tych powodów masy ludowe stanęły do walki o społeczne i narodowe wyzwolenie w czasie najazdu szwedzkiego przed 300 laty. Potwierdzeniem takiego stanowiska chłopów wielkopolskich jest uchwała sejmiku szlacheckiego w Środzie tej treści: „Chłostwo zuchwale pod pretekstem cnoty jakoby do obrony ojczyzny kupując się, domy szlacheckie i wsie najeżdżają, rabują i wszystkie prawie nieprzyjacielskie wolencje czynią”.

Rozgorzała na wielką skalę partyzantka chłopsko-mieszczańska oraz drobnej i średniej szlachty w Wielkopolsce od jesieni 1655 r. i przetrwała w narastającym natarzeniu do początków 1657 r. Największe nasilenie przypada na 1656 r.

Te wszystkie wzmagające się walki powstańcze w Wielkopolsce zmusiły pod koniec 1655 r. dowództwo szwedzkie do zwi-

nięcia oblężenia klasztoru w Częstochowie, gdyż partyzantka ta zagrażała tyłom wojsk szwedzkich i przecięciem dróg komunikacyjnych z Pomorzem Zachodnim i Meklemburgią, należących do Szwedów od 1648 r. Te same przyczyny zdecydowały w dużej mierze do zdobycia na Szwedach przez wojska polskie Warszawy w lipcu 1656 r.

Dla pacyfikacji Wielkopolski król szwedzki wysłał silne oddziały wojskowe, najpierw pod dowództwem gen. Jana Wejharda Wrzeszowicza, a potem pod dowództwem gen. Burcharda Müllera w r. 1656.

Do największej bitwy partyzantkiej, w której główny udział mieli chłopów, doszło pod koniec 1656 r. pod Lubrzem nad Wartą (dziś pow. Środa).

Karol Grudziński, wojewoda kaliski, niedawny zdrajca pod Ujściem, ze swoim kilkutysięcznym oddziałem partyzanckim, składającym się w większości z

chłopów, zorganizował w grudniu 1656 r. pułapkę na pierwszego pacyfikatora Wielkopolski, gen. Jana Wejharda Wrzeszowicza. Przybył on niedawno do Wielkopolski z nowozaciężnym regimentem w sile 2 tys. żołnierzy. Ściągnął właśnie swoje oddziały w okolicach Osiecznej, aby podążyć z odsieczą załodze szwedzkiej, oblezionej przez powstańców w Kaliszu.

Grudziński pisze do niego chytry list, niby w dowód odświeżenia dawnej przyjaźni. Po drodze z odsieczą na Kalisz w liczbie 800 żołnierzy zatrzymuje się we wsi Lubrze, aby spotkać się tutaj ze swym dawnym przyjacielem, Grudzińskim. Uspiona czujność nieprzyjaciela daje w ten sposób przewagę w działaniu sprytnemu wojewodzie.

Po hulaszczym i wesoło spędzonym dniu przez gen. Wrzeszowicza oraz upojeniu wódką żołnierzy układają się Szwedzi spokojnie do snu po chatach wieśniaczych, a generał w miejscowym dworcu. W takiej sytuacji przystępuje wojewoda kaliski do realizowania swego planu.

Wysłannicy-chłopi z oddziałów Jędrzeja Karola Grudzińskiego podkradli się pod osłoną ciemnej, grudniowej nocy pod chaty wiejskie i dworek w Lubrze i podpalili w wielu punktach wieś, leżącą u przejścia na Warcie. Rozpoczęła się pamiętna, największa bitwa w okresie partyzantki ludowej w Wielkopolsce 1656 r.

Celem gaszenia płonącej wsi rzuciło się do jej ratowania kilkuset żołnierzy szwedzkich. W taki to sposób część wojska gen. Wrzeszowicza stała się nieużyteczną w bitwie, która w chwili po wybuchu pożaru rozegrała się przez zaatakowanie Lubrza przez oddziały powstańcze Grudzińskiego. Niespodziewane uderzenie w nocy spowodowało zaskoczenie Szwedów.

Pożar wsi i gwałtowny atak ze wszystkich stron na wieś pociągnął za sobą wielkie zamieszanie w wojsku garnizonu szwedzkiego. Atak oddziałów powstańczych szedł również z drugiej strony Warty, od po-

(Ciąg dalszy na str. 3)

O współzależności w przyrodzie*)

Tylko naiwni lub po prostu nieświadomi rzeczy wyobrażają sobie obserwując przyrodę że dzieje się tam tak jak w „Małej idylli” Rodocia, gdzie „wróbel połyka robaka, wróbel kot dusi niecnota, pies z chęcią pożera kota, psa wilk z lubością rozdziera” i tak dalej, aż kółko się zamknie. Nie, tak źle nie jest. Przekona nas o tym wydana przez Wiedzę Powszechną książka Wojciecha Kaczmarska pt. „O współzależnościach w przyrodzie”. Lalki znajdujące w niej bardzo wiele ciekawych wiadomości o otaczającej go przyrodzie, nauczy go ona, że podziwiane przez nas drzewa, krzaki, łąki są nie dalekim niezwykle intensywnego życia miliardów istot, życia, w którym nie dzieje się przypadkowo, wszystko jest z sobą powiązane, wszystko jest od siebie współzależne, że rządzią tam żelazne prawa przyrody, bez których istnienie organizmów byłoby nie do pomyślenia. Czytelnik dowie się z niej, że takie pojęcia, jak pasożyt, szkodnik, wróg — w przyrodzie okazują się pojęciami względnymi, że każdy gatunek zwierzęcia i rośliny spełnia w środowisku, w którym żyje od wielu pokoleń, doniosłą rolę: umożliwia życie innym organizmom bytującym w tym środowisku; że rośliny i zwierzęta tworzą jeden wielki zespół, w którym wszystko jest do siebie dostosowane i wzajemnie warunkuje swe istnienie. Taki zespół nazywa się biocenozą.

Autor dokładnie omawia poszczególne zależności, najrozmaitsze funkcje, odzajemnione „usługi”, sprawę zapyłania, obrony przed wro-

gami, słowem — otrzymujemy obraz niezwykle głębokich związków łączących organizmy w biocenozie. Istniejące tam wzrogi stosunki okazują się przyjaźniami, zaczyna my rozumieć, że dla życia zwierząt i roślin konieczna jest obecność nie tylko przyjaciół ale i... wrogów. Przekonujemy się, że całe otoczenie w którym jakiś gatunek żył i do którego się przystosował, jest koniecznym warunkiem jego istnienia. Współżycie organizmów w biocenozie jest wynikiem długotrwałej ewolucji, w ciągu której kształtowały się wzajemne zależności, zespół dążył jakby do „polubownego rozwiązania” przeciwności.

Biocenoza ma jeszcze jedną ważną cechę, która chroni ją przed zniszczeniem w razie przypadkowego zniknięcia, czy gwałtownego zmniejszenia się ilości jakiegokolwiek gatunku — samoregulację. Za sadniczy wpływ na biocenozę ma klimat, od niego zależy płodność organizmów. Zarówno warunki klimatyczne jak i skład gatunkowy biocenozy ulegają stale najróżnorodniejszym zmianom. W rozwoju swym biocenoza bogaci się w nowe gatunki.

No, ale nie zapominajmy o człowieku, który wszędzie wścisłbia swoje „trzy grosze”, wszędzie ingeruje, wszystkie zjawiska przyrody usiłuje nagłać do swoich potrzeb. Jak wiadomo, człowiek uprawia rośliny i jeżeli znajdzie się jakiś szkodnik tej rośliny, tępi go, a tępi trzema sposobami: mechanicznie, chemicznie i biologicznie. Wszystkie te trzy sposoby opisane są w książce bardzo interesują-

co i przystępnie. Okazuje się, że są to sprawy skomplikowane, wymagające czasem dużej wiedzy, doświadczenia i sięgające swą historią daleko w przeszłość, kiedy te szkodniki uważane były za „siłę nieczystą”. W swej walce ze szkodnikami człowiek idzie bardzo daleko, stwarza coraz lepsze, przemysłowe metody.

Wszystko stale się rozwija, wszystko jest przyczynowo uwarunkowane — oto konkluzja, do której, po przeczytaniu tej książki dojdzie każdy myślący czytelnik. Konkluzja postępową, zgodną z filozofią materialistyczną, a więc mogącą czytelnika doprowadzić na właściwy, naukowy pogląd na świat. Książka Kaczmarska jest więc lekturą nie tylko interesującą, ale i pożyteczną, szkoda tylko, że tu i ówdzie wkradły się do tekstu pewne chropowatości stylistyczne. (St.O.)

*) Wojciech Kaczmarski: „O współzależnościach w przyrodzie”. Wiedza Powszechna, Warszawa, 1955 r., str. 172, cena zł 5,80.

ROZGRZESZAM WIDZA!

Czesław Michniak

Teatrowi w Gnieźnie poświęciliśmy ostatnio dwa felietony: pierwszy napisany na marginesie przedstawienia „Turcaret”, Lessage’a drugi w związku z wystawionym przez Teatr im. Al. Fredry „Mostem” Szaniawskiego. W artykułach tych zwróciliśmy uwagę na dużą rolę, jaką spełnia teatr gnieźnieński w „terenie”, docierając do kilkudziesięciu miej-

scowości w kilku województwach (za co należą mu się sakramentalne słowa „chwała i sława), niemniej jednak wytknęliśmy teatrowi gnieźnieńskiemu nieumiejętność wychowania sobie widza. Czy ta ocena była słuszna?

Chcąc przekonać się o prawdziwości naszego sądu, zasięgnęliśmy języka w rozmaitych środowiskach: jakie jest zdanie gnieźnian na ich teatrze. Oddajmy im głos.

Wykładowczyni języka polskiego z Liceum TPD ob. K.

Dlaczego pusta widownia? Uważam, że układając repertuar teatru, zwłaszcza jeżeli chodzi o naszego widza, trzeba położyć nacisk na atrakcyjność wystawianych sztuk. „Most” nie trafił do przekonania, po pierwsze, że go nie zrozumiano — nasz widz żąda jasności i bezpośredniości sztuki, a Szaniawski jest przecież bardzo aluzyjny, poetycki. Poza tym komentarz do „Mostu” zawarty w programie teatralnym był za trudny dla przeciętnego konsumenta. Na jakie sztuki ucieczka najchętniej gnieźnian? Chyba na komedie i to z muzyką. Prozętę przyjąć na grane obecnie „Dziewczęta z zasłanymi”, docisnąć się nie można. Poza tym uważam za konieczną obecność na każdej premierze przedstawicieli szkolnictwa, a więc kierowników szkół czy polonistów, którzy po zapoznaniu się ze sztuką mogliby tym łatwiej potem spopularyzować ją wśród młodzieży.

Kol. Ch., uczennica Liceum TPD

Ostatnio byłem na „Moście” tam ładnie grał stary ojciec, który poświęca się dla syna.

Na pytanie kto napisał „Most”, kol. Ch. odpowiada „nie wiem”.

Radca S.

Jak nie ma nic lepszego do roboty, to znaczy kiedy nie gram w brydża albo nie siedzę w kawiarni, to idę do teatru.

Na pytanie ile razy był w 10-leciu w teatrze gnieźnieńskim, odpowiada: „raz”. Tytułu sztuki nie pamięta, zdaje mu się, że było to coś z klasyki.

Adwokat W.

Teatr gnieźnieński jest słaby, toteż wolę dołożyć parę złotych i pojechać do teatru w Poznaniu albo nawet w Łodzi czy Warszawie.

Podobną opinię wygłaszają inni przedstawiciele inteligencji gnieźnieńskiej. To samo słyszałem np. w Radomiu, gdzie zbierałem wypowiedzi do artykułu o teatrze im. Zeromskiego. Z Radomia jedzie się półtorej godziny pociągiem pospiesznym do stolicy. Punktem honoru i manifestacją dobrego smaku dla snobujących się inteligentów jest obecność na wszystkich sztukach, granych w teatrach Polskim czy Narodowym w Warszawie. Co i jak gra zespół radomski nie mieli zielonego pojęcia. Po prostu ten teatr ich nie interesował.

Rzemieślnik ob. C.

Moja żona i ja lubimy się pośmiać, dlatego też najchętniej chodzimy do teatru na komedie (Dokończenie na str. 2)

WESELE GÓRALSKIE



Na Podhalu żywe są stare tradycje i obrzędy góralskie związane z uroczystościami weselnymi. Panna młoda w otoczeniu družby wchodzi do kościoła. CAF — fot. Baranowski



Rys. L. Kapeczyński

Leszek Prorok * OBRĄCZKA * Opowiadanie

Usłyszeliśmy chrzęst szarpanej upręży, a potem krótki jęk. Kobieta, która wbiegła z baru mlecznego, upadła na chodnik. Ciężki koń pociągowy, napastowany przez gzy, wierzgnął raz jeszcze i zatrzepotał kantarem, gdyż kasiawe owady krążyły także nad łbem.

Podbiegliśmy. Kobieta leżała nieruchomo. Straciła przytomność. Jakiś mężczyzna uniósł ją wraz z nami. Wtedy jęknęła znowu, tym razem przeciągle i wraz ze skurczem bólu na twarzy otworzyła oczy. Musieliśmy ją położyć z powrotem, wyglądało na to, że koń kopnięciem złamał jej udo.

Staliśmy niezdecydowani w gromadce ludzi, jaka uformowała się dokoła. Ze spojrzeń wycierało współczucie i bierność. Wszyscy zdawali się wycokiwać inicjatywy od nas, ponieważ my pierwsi zajęliśmy się kobietą. Tymczasem my byliśmy w Kołobrzegu po raz pierwszy w życiu. Przesiadaliśmy się tutaj w powrotnej drodze z nadmorskich wakacji i dwie godziny, jakie pozostały do pociągu, pragnęliśmy wykorzystać na spacer po zniszczonym mieście.

Ludzie żywo komentowali zdarzenie, przy czym z pierwotnym współczuciem zmieszało się gniewne rozdrażnienie. Jego adresem został nieobecny woźnica, który znośił do baru konwie z mlekiem. — Na milicję go oddać! — oburzała się spocona jałmość w średnim wieku. — Miało to wypadków przez nich.

Tłumek potakiwał, zadowolony, że ktoś wreszcie uzewnętrznął zbiorowe uczucia. Ludzie ciekawili się zająciami ulicznymi, ale pragnęli, by nie tylko ofiara, lecz także sędzia i likwidator tych zając był ktoś mny. Podobnie i teraz zanosili się na to, że odpowiedzialnością za dalszy bieg sprawy obciążono milczącego nas oboje i mężczyznę, który także skoczył do poszkodowanej.

To on bąknął pierwszy o pogotowiu i poszedł do telefonu. Marysia ocierała chusteczką twarz kobiety, a ja czyniłem w myśli obrachunek czasu. Jeżeli spóźnimy się na pociąg, stracimy pół dnia.

Uczynny mężczyzna wrócił z baru ciągnąc za sobą woźnicę. Ten ostatni nie był przestraszony ale hardy. Obwarował się z miejsca zadziorną hardością przed ludźmi. — To czego leżała od tyłu. Wiadomo, kuń jest kuń! I stoi na jezdni.

Sądzę, że miał rację. Zmarłoby mnie to, że telefon do pogotowia nie dał rezultatu. Obiecano karetkę najwcześniej za godzinę, gdyż była w terenie. Spytałem, gdzie tu jest szpital. Miał być niedaleko, przy bulwarze za rzeką.

— Nie ma innej rady. Musimy ją sami odwieźć do szpitala. Przewieźcie nas tak, żeby najmniej trzesło — powiedział do woźnicy.

Nie był zachwycony, ale nie kwestionował słuszności rozstrzygnięcia. Ludzie pomogli

W szóstej klasie gimnazjum brał korepetycje z języka polskiego. Pionista prorokował mu ponurą przyszłość. Z powodu zaś matematyki maturę zdawała się przeszkoda nie do pokonania. Wybierał się na prawo. W 1939 r. podchorążym Stanisław Zieliński został ranny i wywieziony do obozu jeńckiego. Dziesięć lat później, w 1949 r., zadebiutował jako pisarz.

— Całe moje pisarstwo zaczęło się od września — mówił Zieliński na wieczorne autorskim. — Przeżyłem tragedię młodych podchorążych 39 roku, obóz, byłem w II Korpusie we Włoszech, pracowałem w polskiej misji repatriacyjnej. Wypadki o dużym znaczeniu historycznym, politycznym rodzą potrzebę podzielenia się przeżyciami, opowiedzenia ich innym. Czulem konieczność rozładowania wszystkich wrzęg z września, z obozu, z pobytu za granicą. Dlatego piszę. W dużym stopniu spowodowały

mnie do pisania bardzo dziwne opinie ludzi w kraju o tym, co się dzieje na Zachodzie. Zrozumiałem, że powinienem „wymierzyć sprawiedliwość faktom i ludziom“.

Zieliński zadebiutował tomem opowiadań zatytułowanych „Dno miski“. Wkrótce potem ukazał się następny tom opowiadań, również o tematyce obozowej — „Przed świtem“. Obie książki wzbudziły duże zainteresowanie, zaskakując czytelników i krytyków odmiennością spojrzenia, satyrycznym ujęciem wcale niewesołego tematu.

— Będąc w oflagu w Karyntii, zacząłem pisać coś w rodzaju pamiętnika. Skrupulatnie je pisywałem przeżycia własne i najbliższych kolegów, szczegółowo opisywałem każdy dzień, każde wydarzenie. Były to notatki bardzo liryczne, bardzo smutne, pełne, jak mi się wówczas wydawało, głębokich przeżyć. Bałem się, że pamiętnik

mleczarskiej, do tego zniekształconej wypadkiem. Dotarliśmy wreszcie do szpitala, okazałego budynku w zieleni, której w Kołobrzegu jest bardzo dużo. Złożyliśmy poszkodowaną bez zwołki na noszach, jakie stały w holu. Mężczyzna pobiegł do izby przyjęć.

Skurcz bólu zelżał i spłynął z policzków kobiety. Chwyciła mnie za rękę. — Dziękuję. Bardzo dziękuję — powiedziała z wysiłkiem. Pochyliłem się i spytałem, czy bardzo ją boli.

— Już mniej. Przedtem bardzo bolało. Spytałem ponownie, kogo za wiadomości o jej wypadku.

Potrząsnęła głową, tak że kosmyki spadły na czoło. — Nie trzeba. Biuro już zamknięte. Nikogo nie ma.

Sama wyjaśniła, że jest woźnicą i sprzątaczką w jakimś urzędzie.

— Ale kogoś z rodziny przebież... — domagałem się w pragnieniu zrobienia dla niej wszystkiego co można, nawet kosztem rezygnacji z planowanego wyjazdu. — Męża... — rzuciłem spoglądając na srebrną obrączkę. Wzdrygnąłem się wewnętrznie od natrętności myśli: ktoż mógłby?

— Nie mam męża — odparła ciszej z wyraźnym wysiłkiem.

Zrobiło mi się przykro. Bąknąłem: przepraszam, myślałem bo... — Ze spojrzenia na obrączkę musiała wyczytać, że biorę ją za wdowę, gdyż przełamując jakiś opór dodała jeszcze ciszej z wyczuwalnym odcieniem goryczy.

— Nie jestem wdową... ani rozwódką... ani...

Musiąłem mieć bardzo głupią minę. Postanowiłem zresztą nie pytać o nic więcej. Lecz ona czuła widocznie obowiązek udzielenia wyczerpujących wyjaśnień człowiekowi, który przyszedł jej z pomocą. Byliśmy sami, gdyż Marysia gdzieś się zapodziała.

Naraz z trudnością uniosła się na noszach i rzekła głośnie.

— Nie mam. No cóż... nie mam! A tę obrączkę noszę, żeby ludzie myśleli...

Zdumiał mnie ten nagły przypływ zaufania. Nie musiała przecież zwierzać nieznajomemu największej zapewne i najbardziej skrytej tajemnicy życia.

— Sama ją wiozłam... tak... — niespokojnie dotknęła obrączkę palcami drugiej dłoni, by upewnić się, że tkwi jeszcze na palcu, że nie zginęła w zamęcie wypadku.

Marzenie, które chciała przybliżyć niewinnym oszukiwaniem, rozjaśniło nagle kańczyste twarz i rozchyliło uśmiechem nieforemne wargi. Uśmiech ten ulepszył wiele. Wierzyła, że metalowa obrączka, znak czyjejś skłonności, umniejsza w oczach świata jej piramidálną brzydotę o jeden ludzki wybór.

Spoglądała teraz na mnie z niewysłowioną prośbą, abym i ja w to uwierzył, mimo jej słów, których, być może, już żałowała.

Skinąłem potakująco głową.

może zginąć, wysłałem go więc do domu, do Warszawy. Spłonał wraz z domem. Gdy w 1948 r. zacząłem odtwarzać dawne notatki, byłem zdumiony, że za miast liryki i smutku, nagle zaczęły zjawiać się jakieś groteskowe postacie, satyryczne scenki. Jakby wbrew woli. Z oddalenia, z perspektywy czasu, życie oflagu nabierało posmaku śmieszności. Chciałbym przy okazji wyjaśnić: nie chodziło mi o ośmieszenie oficerów. Starałem się po prostu ośmieszyć pewne cechy ludzkie, które w obozie wystąpiły bardzo ostro, z całą jaskrawością. A że byli to ludzie w mundurach, stąd mowa o majorach, kapitanach, pułkownikach.

Dwa tomy opowiadań nie wyczerpały zapasu nagromadzonych przez lata wrzęg, spostrzeżeń, sylwetek ludzkich. Za chęć przez wydawnictwo, Zieliński napisał „Ostatnie ognie“. I ta książka wywołała niesłychaną wrzawę, zaciekle spory, dyskusje. Zyskała też Zielińskiemu olbrzymią popularność. Na drugi tom powieści „Jeszcze Polska“ czekano z niecierpliwością. Równie niecierpliwie oczekiwany jest od dawna zapowiadany przez autora trzeci i... prawdopodobnie także czwarty tom cyklu powieściowego.

— Często spotyka mnie zarzut, że „udziwniam“ sytuację, wprowadzam przypadkowe, nieprawdopodobne spotkania ludzi, niczym nie uzasadnione podroże. Zarzut ten stawiają mi ludzie, którzy nie byli bezpośrednio po wojnie zagranicą. I nie mają racji. U ludzi wywołanych z obozów potrzeba ruchu była wówczas tak wielka, że podróżowali, przebywali setki kilometrów, nie zastanawiając się, po co to robią. W tym okresie panował bardzo dziwny nastrój; ludzie odwykli od decydowania o własnym losie. Nie wiedzieli, co z sobą robić. Jednego dnia zgłaszali się na wyjazd do Polski, drugiego w berali się do Włoch, trzeciego — do Kanady.

— Drugi, często powtarzający się zarzut, dotyczy podwójnej narracji w „Ostatnich ogniach“. Przyznaję, że początkowo w książce miały wystąpić trzy, cztery główne postacie, z których każda opowiadałaby w pierwszej osobie o swoich losach. Później jednak doszedłem do wniosku, że powstałoby takie zamieszanie, z którego Czytelnik nie mógłby zrozumieć. Mimo to pozostały dwie narracje: autora i głównego bohatera — Masłowca. Przy gotując III wydanie, chciałem usunąć narrację Masłowca — okazało się to jednak zbyt trudne.

— Kiedy spodziewa się pan ukończyć trzeci tom?

— W maju 1955 r., podczas kiermaszu książki odpowiadałem: prawdopodobnie jeszcze w tym roku. Dziś, niestety, mogę również tylko powtórzyć: prawdopodobnie w tym roku. Znosi się na to, że trzeci tom nie zamknie cyklu, że będzie potrzebny jeszcze czwarty. W „Ostatnich ogniach“ i „Jeszcze Polska“ nagromadziło się tyle postaci, że muszę jakoś doprowadzić ich losy do końca. Nie mogę ich przecież wszystkich uśmiercić.

Pracując nad dalszym ciągiem cyklu powieściowego, Zieliński pisze również opowiadanie, które traktuje jako szkic do powieści. Ostatni tom jego opowiadań, wydany w 1955 r., nosi tytuł „Kalejdoskop“. Obecnie pisze powieść sensacyjną.

— Miałaby to być powieść szpiegowska, ale... znowu staje się groteskowa.

Nie bliższego pisarza nie chciał o niej powiedzieć. Nie lubi mówić o książkach, które ma na warsztacie. Zapewne dla tego tak rzadko zgadza się na spotkania z czytelnikami — za ledwie raz, najwyżej dwa razy w roku. Można by się na to zgodzić, byle spotkania z jego książkami były częstsze.

(JON)



Niecodzienna uroczystość odbyła się niedawno w pałacu cesarskim w Japonii. Obchodzono tam uroczystości... dościs do pełnoletności księcia Yoshi, syna cesarza i cesarzowej. Dostojny książę Yoshi wystąpił w tradycyjnym stroju dworskim.

Fot. — CAF

Rozmaitosci

Amerykański uczony — Jonas Salk, wynalazca szczepionki przeciwko paraliżowi dziecięcemu, podejmował niedawno w sanatorium piteburgskim czterech naukowców radzieckich, którzy bawili w USA celem prowadzenia studiów.

Francuscy właściciele sal kinowych bojkotują od paru tygodni w niezwykle oryginalny sposób rząd i ministrów. Wycinają oni mianowicie z tygodników filmowych sceny z członkami gabinetu francuskiego, protestując w tej formie przeciwko wysokim podatkom kinowym.

Cały Rzym podziwiał czterolatniego Luigiego Solano, syna pewnego lekarza. Mały obywatel zna już wszystkie główne dzieła literatury światowej, ponadto 100 wierszy, 500 pieśni, a 20 dzieł literatury naukowej, które nawet na pamięć. Rodzice małego Luigiego twierdzą, iż „synek ich nie ma zamiaru poświęcić się literaturze“.

ROZGRZESZAM WIDZA!

(Dokończenie ze str. 1)

die. Dlaczego czasami teatr świeci pustkami? Uważam, że to nie jest wina gnieźnieńskiego widza, który lubi swój teatr, szanuje wysiłek aktorów, reżysera i scenografa a raczej winę teatru. Poziom niektórych przedstawień jest słaby. Nie rozumiem, dlaczego Gnieźno posiada słabszych aktorów i reżyserów, niż na przykład Poznań czy Łódź.

Na podstawie tych kilku wypowiedzi można sobie wyrobić pewne zdanie o sytuacji w Gnieźnie, przy czym najważniejszą rolę odgrywa tutaj dwa momenty: pierwszy — repertuar, drugi — jakość, poziom artystyczny przedstawień.

Repertuar? Tutaj widza żąda sztuk lekkich, przyjemnych, z muzyką, raczej bezproblemowych, czegoś dla wytchnienia, rozrywki. Niewątpliwym zadaniem teatru jest te wymagania zaspokoić, z dru-

giej jednak strony nie wolno teatrowi na tym poprzestać, trzeba sięgnąć również i po sztuki problemowe. Ale jak się do nich (tzn. sztuk problemowych) urtosunkuje widz? Zaryzykuje twierdzenie: decyduje o tym nie treść, ale jakość tych przedstawień. W tym sensie, że czasami „chce się, a nie może“ — i to, zaznaczam, nie w winy lokalnego kierownictwa teatru a czynników centralnych, dokładnie — Centralnego Zarządu Teatrów i innych podobnych instytucji w Warszawie. Na ich to bowiem konto należy wpisać ustawiczne osłabianie teatrów prowincjonalnych, ściąganie do Warszawy najlepszych sił aktorskich i reżyzerskich i z kolei do Poznania wybitniejszych aktorów z Kalisza czy Gnieźna. Stąd też zespoły prowincjonalne, m.in. gnieźnieński i kaliski, chociaż ambitne, posiadające w swym kolektywie wiele utalentowanych jednostek z trudem dźwigają ryzyko tak poważnych spektakli

jak „Romeo i Julia“ czy „Maria Stuart“.

Nie zależy nam specjalnie na kilku czy kilkunastu snobach z Gnieźna, jeżdżących II klasą, ślepiemgiem do Warszawy. Chodzi przecież o przeciwnego obywatela, który raz na miesiąc wyjeżdża do Poznania, a poza tym ma do dyspozycji tylko swój teatr, grający tylko w soboty i niedziele. Ten przeciwny widz żąda od teatru odpowiedniego repertuaru, żąda jak najlepszej gry od aktorów, jak najpiękniejszych dekoracji od scenografa. Jeżeli dowie się, że tego teatru mu nie da, że przedstawienie jest za trudne bądź słabe — zostaje w domu. O tych gustach widza gnieźnieńskiego świadczą najdobitniej wielkie powodzenie azerbejdżańskiej komedii „Dziewczyna z zaslonami“. Ze teatr gnieźnieński szuka również innych form kontaktu z widzem mamy tego dowód w postaci spotkań aktorów i kierownictwa teatru z nauczycielami oraz z kółkiem literackim w Powiatowym Domu Kultury. Dalsze, chwalebne zacieśnienie więzów tego rodzaju, winno przyczynić się do powolnego, ale uporczywego roszczenia światopoglądu widza, przekonania go do sztuk trudniejszych, problemowych.

Z drugiej strony niech polityka teatralna prowadzona przez instytucje centralne pomoże teatrowi prowincjonalnemu, niech uzbroi go nie tylko w instrukcje i okólniki, czy pisma ale przede wszystkim w konkretne posiłki ludzkie, materiałowe, pieniężne. W przeciwnym bowiem razie nasz widz z Gnieźna (a także np. Kalisza czy Zielonej Góry itp.) cofnie się przynajmniej o epokę w stosunku do widza warszawskiego czy krakowskiego.

Czesław MICHNIAK

Taka była „główna maska“ karnawału



Przed karnawalem w Nicei — rzeźbiarze Albert i Antoni Parent (ojciec i syn) pracują nad wykończeniem „Głowy Karnawału“, zanim zostanie ona odlana w gipsie. Do wykonania głowy zużyto 700 kg gliny. Pracowano nad nią 10 dni.

Fot. — CAF

W dzisiejsze mody kobiecej zaczyna odgrywać bar dzo ważną rolę włosy. I to nie tylko w dziedzinie strojów. Tak na przykład ostatnim krzykiem mody lansowanej przez koła włoskie jest nowy sposób wykonywania „maquillage'u”. Twarz nowoczesnej kobiety winna być biała jak kreda, policzki tylko lekko zaróżowione, lecz za to oczy obramowane ciemnymi obwódkami. Chociaż projektodawcy roją nową modę, wielkie powodzenie, zapominają jednak, że wówczas kłowni cyrkowi zmuszeni będą zmienić swe... maski!

Julian Stawiński

Maszyna – ale nie człowiek

Czy można wyprodukować człowieka w laboratorium? Takie jest marzenie pewnej grupy uczonych amerykańskich. A przynajmniej takie złeczenie otrzymali oni od przyszłych „pracodawców” robota, jeśli oczywiście uda się go wynaleźć. A owi pracodawcy wiedzą już dobrze, czego — i dlaczego — chcą. W naszych czasach, w epoce zaawansowanych osiągnięć techniki, marzenia szybko przeistaczają się w rzeczywistość. Czy wszystkie? Zaraz zobaczymy.

Okazały żółw zwolna, jak by z namysłem, wycofuje jedną łapkę, potem drugą, a wreszcie flegmatycznie podchodzi do grupy wodorostów świecących słabym, fosforyzującym światłem. Ale w połowie drogi zmienia widocznie zamiary i przestannie obchodzi rośliny dookoła. — Specer żółwia kończy się w morze, z której dla odmiany białe ostrzy, kłujące w oczy blask.

Nie trzeba dodawać, że żółw jest sztuczny i stanowi rodzaj pełnej zabawki dla dorosłych. Trzy koła, silnik i kierunkowe motory ulegające impulsom komórki fotoelektrycznej — oto główne składniki urządzenia. Twórca żółwia jest elektronik angielski, Walter Grey. A może raczej należałoby go nazwać cybernetykiem? Takie bowiem słowo — cybernetyka — ukłó dla nowej gałęzi wiedzy i technologii jej twórcą, a w każdym razie głównym teoretykiem, profesor Instytutu Technologicznego stanu Massachusetts, Norbert Wiener. Termin pochodzi od greckiego wyrazu ku bernes, co znaczy — sterownik. Albowiem cybernetyka zajmuje się w zasadzie kwestią automatycznego kierowania mechanizmami. Automatycznego, czyli przy pomocy mechanizmów urządzeń. Przykładem najprostszym, z czasów zresztą, kiedy o cybernetyce nie było jeszcze słychać, będzie termostat. A co fałsz jest jeszcze bardziej w historii techniki, znajdziemy regulator Watta, w którym wyposażone są nasze pociechy lokomotywy, jak również inne maszyny parowe.

Lecz mechanizmy współczesne odjechały daleko od starożytności wynalazku Watta. Przeprowadzają najbardziej skomplikowane rachunki, zachowując niejako w „pamięci” częściowe wyniki obliczeń, wykrywają i poprawiają swoje własne błędy, albo też błędy innych mechanizmów, kierując funkcjonowaniem maszyn, z bliską i na odległość. Dzięki nim możliwe są ślepe loty, w no cy lub też wśród chmur; wystrzeliwanie pocisków trafiających bezbłędnie w niewidoczny cel; wykonywanie działań matematycznych, dla których człowiek musiałby użyć całe tygodnie, a nawet lata pracy. Nic więc dziwnego, że najwspanialszy z takich cudów techniki nazwano mózgiem elektronowym. Elektronowym — ponieważ budowa tych mechanizmów opiera się przede wszystkim na kombinacji olbrzymiej ilości większych i mniejszych cylindrów elektronowych — typowym ich przykładem są lampy radiowe — i ultracienkich komórek fotoelektrycznych. Ale istnieje rzecz jasna, radykalna różnica. Różnica ilościowa: — mózg ludzki liczy przecięt-

»PAN TADEUSZ« I... MŁOCKARNIA

...machina, którą niemieccy majstrowie wymyślili i która młockarnią się zowie, A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże, Razem i słomę kraje, i wybija zboże”.

Pan Tadeusz, ks. IX, w. 405—408.

Nie mało kłopotu sprawiła mi ta najwcześniejsza w naszej literaturze pięknej wzmianka o młockarni w poszukiwaniach nad historią tej maszyny na ziemiach polskich przed r. 1831. Spośród kilkuset młockarni, jakie według budzącego zaufanie świadka istniały w tym czasie w samym

Królestwie Polskim, nie licząc tych, które przez fabryki krajowe były eksportowane za granicę, zaledwie kilkanaście młockarni udało się odnaleźć. W tym 2 na Litwie, jedna w Szczorsach (istniejąca tam co najmniej od r. 1811), a druga w Szczuczynie. Nasuwał się więc domysł, że poeta widział młockarnię w Szczorsach, co do drugiej bowiem znanej nam dziś dokładnie z opisu i z rysunków wiadomo, że nie była połączona z sieczkarnią, lecz była młockarnią tzw. szkocką, ulepszoną przez ministra skarbu Lubeckiego, który obok Steckera, Sterna i Kuchajewskiego należał do pierwszych polskich konstruktorów młockarni.

Poważne kłopoty szperacza

Jednakże domysł, że poeta właśnie ze Szczors zacytował materiał do wzmianki o młockarni, miał o tyle słabą podstawę, iż w polskich źródłach drukowanych przed r. 1831 nie ma najmniejszej wzmianki ani o takiej młockarni, która by była połączona z sieczkarnią, ani o takiej, którą „niemieccy majstrowie wymyślili”.

W ogóle zaś wzmianka poety była o tyle niepokojąca co do swej prawdziwości, że w owym czasie 1) wobec mało jeszcze rozwiniętej sprawności młockarni trzeba było być zadowolonym, gdy ona jako tako wymłócała, 2) tą maszyną, której połączenie z młockarnią stanowiło rzeczywistą potrzebę, była wialnia, która przed r. 1831 tylko niekiedy była w budowie w młockarni, wcale nie zaś sieczkarnia, 3) ówczesne młockarnie na ogół tak gnioty i kruszyły słomę (bardzo wówczas potrzebna zwłaszcza do pokrywania dachów), że w pewnym stopniu wyręczały funkcję sieczkarni.

Pierwszy ślad

Wobec tego pozostawało przypuszczenie, że poeta widział, niewiadomo gdzie, młockarnię o konstrukcji wyjątkowej, aż dopiero odnalezienie w inwentarzu majątności Konarzewa, pod rokiem 1823 wzmianki „machina do młócenia i sieczki” wytworzyło pewniejszą podstawę do przypuszczenia, że poeta widział taką właśnie młockarnię w Konarzewie, które, jak wiadomo, zwiedzał w czasie swego pobytu w Wielkopolsce!

Jednakże cytowana wyżej wzmianka nie wyjaśniała, skąd się wzięła taka osobliwa młockarnia w Konarzewie, a wreszcie w rocznikach meklemburskiego towarzystwa rolniczego z r. 1822 natknąłem się na opis maszyny do młócenia i do sieczki. Według tego opisu chodzi tu o maszynę zbudowaną prawie całkowicie z drzewa. Właściwa młockarnia nie jest organicznie połączona z sieczkarnią i każda z tych maszyn może samodzielnie funkcjonować, w konstrukcji swej zaś jest tak prosta, że rzekomo



Jedynie ZOO w Pekinie posiada okazy niedźwiedzi z gatunku Wielki Panda. Są to trzy młode niedźwiedziaki złapanie wiosną tego roku w zachodniej części prowincji Syczuan. Niedźwiedzi te są bardzo delikatne i trudne do wychowania.

Fot. — CAF

każdy cieśla wiejski może ją zbudować. Opis wymienia jedynie właściciela maszyny, nie wspomina zaś o wynalazcy. I słusznie, bo samo połączenie młockarni z sieczkarnią nie może mieć cech wynalazku. Maszyna ta, jakkolwiek podobno przez wielu chwalona, odznaczała się konstrukcją przestarzałą, choć opis zawiera sugestie, że jej budowa jest świeżej daty. Nie tylko fakt unikania żelaza do budowy młockarni świadczy o przestarzałości, ale także, jak wynika z rysunku, brak właściwego, a w tym czasie już znanego kieratu, który przy tej młockarni zastąpiony jest jeszcze dawnym kołowrotem poruszającym siłą zwierzęcą przez deptanie ukośnej okrągłej tarczy.

Przypuszczalne koleje

Do Konarzewa mogła się dostać ta osobliwa młockarnia, którą poeta nazywa zgodnie z ogólnie przyjętym w tym czasie zwyczajem „młockarnią”, albo drogą kupna (kosztować miała 350—400 talarów), albo też w ten sposób, że została zbudowana na miejscu w Konarzewie, i to bądź przez sprowadzonych w tym celu majstrów z Meklemburgii, bądź też na podstawie rysunku i opisu przez miejscowych rzemieślników. Oba sposoby stosowane były na ziemiach polskich przed r. 1831, przy czym często, budując młockarnię na miejscu, a więc na wsi w warsztacie dworskim, wprowadzono niektóre ulepszenia.

Uwagi niniejsze prowadzą do wniosku, że wzmianka o młockarni odnosi się z dużym prawdopodobieństwem do wrażeń poety z Konarzewa i dotyczy rzeczywistej maszyny historycznej zbudowanej przez niemieckich majstrów.

1) Akta majątności Konarzewa — Inwentarz sygn. 137—150 — Woj. Arch. w Poznaniu.

2) Neue Annalen der Mecklenburgischen Landwirtschaft, t. IX, 1822, s. 420 i d.

NAJWIĘKSZA BITWA POWSTAŃCZA

(Dokończenie ze str. 1)

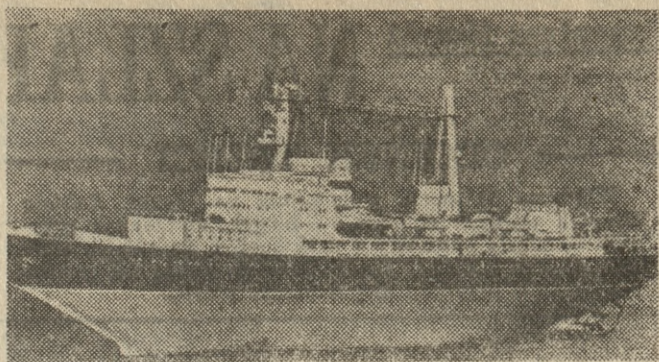
łudnia, od strony Nowego Miasta. Powstańcy chłopcy po zamarniejszy rzecze przedostawali się do Lubrza. Regiment gen. Wrzeszowicza został częściowo wycięty w pień, częściowo zepchnięty do Warty i rozproszony. Łód na rzecze zalał się pod ciężarem panicznie uciekających żołnierzy szwedzkich. Komu udało się szczęśliwie przedostać na drugi brzeg rzeki, ten wpadał w ręce czekających tutaj chłopów. Jęńców w ogóle nie brano. Wszyscy ginęli pod ciosami cepów, widel, pik, drągów czy kos chłopskich partyzantów. Za dnia chłopcy przetrząsali okoliczne lasy, dobijając rannych i uciekinierów.

W panicznej trwodze, zerwany z głębokiego snu, gen. Wrzeszowicz ratuje się ucieczką, chroniąc się w stogu słomy. Znaleźli go tam jednak chłopcy i zabili kijami, drągami i widłami. Zginęli w tej bitwie nad Wartą wśród chłopów „tościak” również inni, wybitni oficerowie szwedzkiej armii, jak Langerar, Jan Otto de Walh, Heider, Moritz, Kannenberg, Teich i Fruchtlund.

Bitwa pod Lubrzem rozegrana była równocześnie z kilku innymi potyczkami z szwedzkimi oddziałami ubezpieczającymi główne siły. Do takiej potyczki doszło m. in. pod Murzynowem Leśnym (dziś pow. Środa). Tutaj odkopano w 1929 r. heim, części uzbrojenia, pistolety i pieniądze szwedzkie.

Śmierć Wrzeszowicza po bitwie pod Lubrzem notuje wielu ówczesnych kronikarzy jak Kochowski, Rudawski i Gordon. Kochowski, opisując tę bitwę i śmierć pierwszego pacyfikatora Wielkopolski, podaje, że gen. Wrzeszowicz nie został nawet pogrzebany.

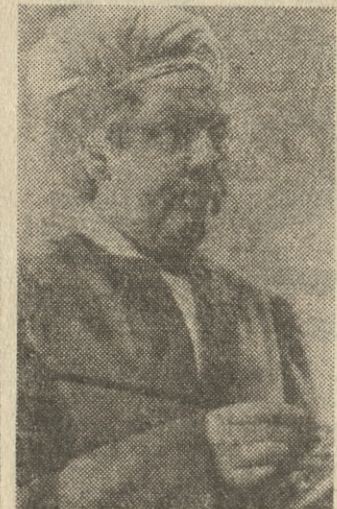
Rękopis w Bibliotece Ossolińskich podaje m. in. wiadomość, że „opanował król szwedzki wszystką Wielkopolskę i Małopolskę. Tylko nie wziął Luwowa, Przemyśla, obronielisma, Ławcuta, Nowego Targu, Zamościa, obronielisma, Częstochowskiej klasztor kilka razy się kusili szturmować — tam postrzelony został i dobit Graf, który



Na XX Zjeździe KPZR wiele mówiono o perspektywach wykorzystania energii atomowej dla celów pokojowych. Oto na zdjęciu widzimy model radzieckiego lodolamacza atomowego o imponującej wyporności 16 000 ton. Dotychczas podano do wiadomości, że ten supernowoczesny statek o napędzie atomowym będzie mógł pływać bez odnawiania paliwa 2—3 lata. Zaleta ta jest szczególnie cenna dla statku przeznaczonego do pływania w kręgu Kola Podbiegunowego. Atomowy napęd umożliwia w ten sposób podejmowanie długotrwałych wypraw arktycznych, pomijając już możliwość stosowania go jako torującego drogę karawanom transportowców — w „pustynnych” rejonach mórz polarnych, gdzie trudno zakładać bazy zaopatrzeniowe węgla lub ropy naftowej. Jak twierdzą uczeni, zbudowanie statku o napędzie atomowym należy do łatwiejszych zadań (stosunkowo oczywiście). Można bowiem stosować grube ochronne płyty betonowe, zabezpieczające przed zabójczą promieniotwórczością. Zdobyte w czasie budowy lodolamacza radzieckiego doświadczenie pozwoli na szersze stosowanie energii atomowej dla celów żeglugi morskiej.

Fot. — CAF

REMBRANDT NA EKRANIE



„Dama z portretu” — to film produkcji angielskiej, który wszedł obecnie na polskie ekrany. Reżyserował Aleksander Korda. Na zdjęciu: Charles Laughton odtwórca roli Rembrandta.

CAF—CWF

MIESZANKA FILMOWA

Pisaliśmy już w Polsce nie raz o „czarnej liście” amerykańskich filmowców, którzy wskutek zakazu Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej są poza wien i pracy. Obecnie opublikowano listę.

Pozbawiono pracy w Hollywood: 106 scenarzystów, 36 aktorów, 3 tancerzy, 11 reżyserów, 4 producentów, 6 muzyków, 4 realizatorów filmów rysunkowych i 44 techników.

Ponadto na „szarej liście” (ludzie, którzy nie mają prawa zawierania rocznych kontraktów) są liczni dalsi artyści i technicy. Słowem wolność całą gębą!

Chwila statystyki. Przeciętny Amerykanin ze swego budżetu, który przeznaczają na widowską (teatr, kino, cyrk) wydaje 74 proc. na kino, ale z budżetu na wszystkie przyjemności kulturalne (teatr, kino, cyrk, telewizja, książki, sport, wydatki klubowe, gazety i „magazyny”, zabawki dla dzieci itd.) — wydaje tylko 10,4 proc. na kino.

Nie próżnują także filmowcy francuscy szykując się do tegorocznego festiwalu filmowego w Cannes. Tymczasowo premię „wartości artystycznej” w wysokości 15 000 000 franków otrzymał film Claude Autant Lara (twórca „Czerwonej oberży”) pod tytułem „Małgorzata nocą”. Jest to współczesna fantazja na temat Fausty według znanej powieści Pierre Mac Orlana z Michèle Morgan w roli Małgorzaty i... Yves Montand — rewelacyjnym w roli diabła.

Podobał się także film „Hurarzy” z Bernardem Blier i Bourville'em w rolach głównych.

Najwięcej zażartych dyskusji wzbudził film „Lola Montez” z Martine Carol w roli tytułowej i w reżyserii Maxa Ophulsa. Film ten (zrealizowany w „Cinemascope” przez spółkę francusko-niemiecką) kosztował aż 600 000 000 franków (normalny film ok. 200 000 000 franków). Krytycy podzielili się na dwa ostry zwalczające się obozy, wśród których Sadoul twierdzi, że film jest niemalże hańbą, a np. Rossellini, że jest „wkładem do historii filmu, który każe wierzyć, że film przetrwa najgorsze burze!”

Nowy rok przynosi nam nowe, dobre filmy radzieckie i zapowiedzi coraz to ciekawszych dzieł filmowych realizowanych w Moskwie, Leninogradzie czy Kijowie.

Pierwsza nowa premiera w dniu 23 lutego była komedia filmowa „Szeregowiec Browkin” z Leonidem Charitonowem w roli tytułowej, następnie ujrzymy „Niedokończoną opowieść” Ermlera z Bopdarcukiem, Bystrzycką i Samojłowem, „Maksyma Pieriepielić” z Bykowem w roli tytułowej oraz „Historie pewnej miłości” Rajzmana z Pierewierziem w roli głównej, wreszcie ujrzymy znakomitego aktora Jemielianowa w roli Makarenki w „Poemacie pedagogicznym”. W realizacji są filmy: „Matka” wg Gorkiego, „Idiota” według Dostojewskiego i inne.

ODCINEK TRZECI

Wyprawa badawcza wylądowała na Wenus. Rakieta wskutek mylnych obliczeń — innych, nieznanych przyczyn — uległa poważnemu uszkodzeniu. Podróżnicy oczekują pomocy z Ziemi. Tymczasem spotykają ich groźne przeciwności przyrody niegościnnego globu...



Rys. (2) L. Kapczyński

Nazajutrz Bara obudziła się wcześniej. Zaczęła myśleć o wczorajszym rozmowie z Tiną i już nie zasnęła. Odsłoniła iluminator. Niebo było czerwieniste, słońce stało widocznie już bardzo nisko. Perspektywa długiej nocy pogorszyła jej samopoczucie. Zaprażyła się zwierzyć ze swych myśli przed kimś bardziej doświadczonym: „Może Dag Rossa już nie śpi?”. Zwykle wstawał wcześniej, aby pracować przed śniadaniem.

Bara ubrała się, wyszła z kabiny i pionowym korytarzem, jak studnią przedostała się na najwyższą kondygnację, gdzie mieściła się kabina nawigatora i obserwatorium.

Nie omyliła się, Inżynier się działy przy biurku pochylony nad jakimiś obliczeniami.

— To wy? — zdziwił się.

Dziewczyna usiadła na miejscu, które jej wskazał, nie wiedząc od czego zacząć.

Dag Rossa przeszedł się po kabinie i domyślając się widocznie powodów, które skłoniły dziewczynę do tak wczesnej wizyty, zagadnął pierwszy.

— No, co powiecie na wczorajszy wyskok Bowskiego?

— W związku z radiem, czy z potworem?

Inżynier się uśmiechnął. Wyjął papierosa, poczęstował Barę i mówił:

— Dziwię się, że przysłało nam takiego człowieka. Jego cała mentalność obnażyła się, gdy musieliśmy ograniczyć racje żywnościowe.

Bara pytająco spojrzała inżynierowi w oczy.

— Tak — powtórzył Dag Rossa — on przy stole zapomina o tym, że nie jest sam.

Bara zawahała się chwilę:

— Ale wczoraj miał rację — rzekła — mamy prawo wiedzieć, jak wygląda nasza sytuacja.

— Przecież niczego nie ukrywamy.

Bara, której onieśmienie już minęło, zaczęła mówić o swych wątpliwościach. Powiedziała także i o tym, że nie rozumie na czym polega pewność inżyniera i Ali Keera, co do przybycia pomocy z Ziemi, skoro możliwy termin nadejścia tej pomocy już minął. Poza tym dodała:

Użyliście argumentu, że Wenus zmieniła orbitę, aby uspraawić przyczyny awarii, lecz to osłabia zaufanie do kierownictwa.

Póki Bara mówiła, Dag Rossa przyglądał jej się uważnie. Podniecenie wywołało rumieniec na jej pięknej twarzy; jedynie zaniedbany stan bujnych, kasztanowych włosów i jakby gorączkowy blask w oczach świadczyły o wewnętrznej szarpalinie. Inżynier słuchał pełnych gorzkości słów. Zbliżył się do stołu i wziął arkusz papieru po kryty drobnymi algebricznymi znakami.

— Właśnie pracuję — powiedział — aby to o czym teraz

mogę mówić jedynie w domyślnych, stało się bezsporną pewnością.

— Nie rozumiem — odparła dziewczyna i zdenerwowana wzruszyła ramionami.

Dag Rossa spojrzął na trzymaną kartkę.

— Pamiętacie — zaczął — gdy wyruszyliśmy z Ziemi dotarła nas sensacyjna wiadomość o zaginięciu periodycznej komety Halleya. Nieco później astronomowie donieśli o przesunięciu peryhelium Plutona o dwie sekundy w ciągu ostatniego obrotu tej planety.

— Pamiętam — powiedziała Bara, przypominając sobie jednocześnie wspaniały bulwar Leninopolisu i gmach Prasy, na którym płynące, świetne litery rozgłaszały przechodniom tę wiadomość.

— Pamiętam — powtórzyła Mówiono wtedy o „Obiekcie Rena”.

— A wiecie czym był ów „Obiekt Rena”?

— Prawdopodobnie ciemną gwiazdą, która zbliżyła się do układu słonecznego — powiedziała Bara i jednocześnie nowa myśl, jak błyskawica przemknęła w jej mózgu.

— Znamy dotychczas kilka ciemnych, lub podczerwonych gwiazd — podchwycił Dag Rossa — na przykład Epsilon Woźnicy co do masy dziesięciokrotnie przewyższa Słońce, nie więc dziwnego, że orbity planet mogły doznać mniejszych, lub większych zakłóceń.

— Rozumiem — szepnęła dziewczyna i wyciągnęła rękę po papier trzymaną przez inżyniera.

Dag Rossa podał dziewczynie obliczenia i wskazując na roczniki „Astronawigatora” leżące na biurku, dodał — najgorsze jest to, że w danych edycji rocznika, radaroskopy nie pochwytyły jeszcze „Objektu Rena” i dlatego nie mam danych o jego odległości od nas, ani wymiarach. Musiałem więc z konieczności w obliczeniach przyjąć szereg hipotetycznych danych.

Bara obejrzała obliczenia. A zatem Wenus mogła opóźnić się na swej orbicie i dlatego doganiając ją statek z szybkością hiperboliczną wpadł w jej atmosferę. To cud, że nie uległ eksplozji. Rozmyślając usłyszała ponownie głos inżyniera.

— Obecność „Objektu Rena” w pobliżu układu słonecznego jest rzeczą o tyle ciekawą z punktu widzenia naukowego, że niewątpliwie Erivan i Rosstów przyspieszyli swe prace przy budowie galaktycznego okrętu, który w pogoni za obiektem i z łatwością po drodze wybawi nas z opresji. Stąd domyślam się, dlaczego niewysłano nam pomocy rakiety dotychczasowego typu.

Inżynier przeszedł parę razy po kabinie, potem stanął na-

przeciw dziewczynie i dodał:

— Rakieta o stałym napędzie jonowym może startować w każdej chwili, nie czekając na korzystne złączenie.

Niewątpliwie Dag Rossa miał rację. Ziemia nie mogła ich zostawić na pastwę losu. A ponieważ w instytucji odprawczym dokładnie wiadano o stanie ich zapasów, przeto pomocy należało oczekiwać lada chwila.

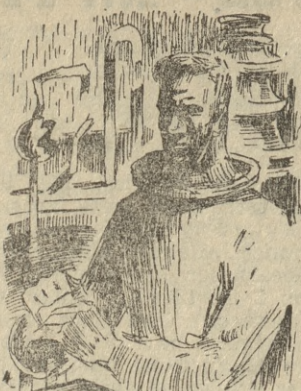
Uspokojona dziewczyna opuściła kabinę inżyniera i pobięła do przyjaciółki, aby podzielić się z nią wiadomością.

Dag Rossa po odejściu Bary stał chwilę w milczeniu z rękami w kieszeniach kombinezonu. Jak pamięcią sięgał, ciągnął się za nim długi szereg dni wypełnionych pracą. Przestrzenie szklane hale laboratoriów uniwersytetu im. Tichowa w Leninopolisie, a obecnie ciasna kabina uszkodzonego statku, przeładowana na wpół zniszczonymi aparatami pomiarowymi i urządzeniami kierowniczymi, zamykały jego życie, jak w klatce — w kręgu naukowych zainteresowań. Poczuł się nagle samotnym, tak samotnym, że nawet wspomnienia o pozostawionej w Leninopolisie niedużej willi, w której czekała starszuszka matka, nie rozwiąły tego uczucia. Wydawało mu się, że jedynie obecność Bary mogła być upiększyć życie, uczynić je pełniejszym, podobnie jak nowa odkrywcza myśl, ożywia i wyprowadza ze ślepego zaułka jakiś cykl nieudanych doświadczeń naukowych.

Dag Rossa wzruszył ramionami: „Czego ja dokonałem w życiu — pomyślał — czym jestem wobec Erivana lub Rena”?

Noc zbliżała się powoli. Inżynier podszedł do okna i z niepokojem śledził wzmaganie się wiatru, szarpającego pozrywane przewody instalacji radiowych i urządzeń meteorologicznych. W pierwszych dniach pobytu w nieszczęsnej dolinie próbowa no prowadzić obserwacje i utrzymywać stację radiową w ruchu, ale stałe ataki latającego lasu niweczyły te wysiłki i burzyły instalacje. Długo gło wiono się nad tym co powoduje te stałe wizyty. Domyśli i dociekania nie rozwiązały zagadki, a stały się przyczyną tragicznej śmierci geologa Jaka Iwanowa; wiedziony ciekawością naukowca, nie schromił się na czas przed nadlatującą chmurą.

Dag Rossa przyłożył czoło do szyby wparł się w stożek wulkanu, nad którym od wczoraj zgęstniały obłoki dymu. Potem uporządkował papiery na biur-



ku i poszedł do kabiny centralnej.

Ivo Keer przed wygłoszeniem codziennych porannych instrukcji i wiadomości siedział w fotelu. Cekał aż wszyscy się zbiorą. Powitał wchodzącego inżyniera i wręczył mu analizę spektrogramu płynącego lasu.

— Profesor zdaje się na rację — powiedział — nie wykryliśmy śladów węgla, ani tlenu. Las nie żyje.

— Nie na tej planecie nie przypomina Ziemi — odparł Dag Rossa i jął przyglądać się czarnym, absorbującym linom widma.

Tymczasem do inżynierów zbliżył się Rigo Watt i rzekł nie ukrywając zadowolenia.

— To wszystko kryształ, jak przewidywałem. Cudów nie ma nawet na Wenus.

— Nie jestem tego tak bardzo pewien — uśmiechnął się Dag Rossa.

— Co do cudów?! — Wykrzyknął rozbawiony profesor.

— Wiemy — ciągnął dalej inżynier — że życie na Ziemi powstało dzięki temu, że węgiel tworzy niezliczone ilości związków chemicznych. W tyglach pierwotnych gorących oceanów, jak w retortach uczonych, w ciągu milionów lat z koacerwatorów powstało ożywione białko. Tak było na Ziemi, ale obserwując zjawiska na Wenus możemy postawić pytania: czy rzeczywiście poza węglem żaden pierwiastek nie jest zdolny do tworzenia wysokomolekularnych związków?

— Co! Co mówicie?! — poruszył się Watt. Widać było, że chciał zaprotestować, lecz jakas niespodziewana myśl powstrzymała go w pół słowa. Na czoło profesora pojawiły się zmarszczki. Poprawił okulary powoli wyciągnął rękę po spektrogram.

— Czy przypuszczacie coś konkretnego? — błysnął szklami w stronę Dag Rossy.

— Być może — uśmiechnął się inżynier.

(Ciąg dalszy za tydzień)

KULTURA NA WIEŚ!

Hasłem powyższym przepełnione było ostatnio posiedzenie Powiatowej Rady Narodowej. W posiedzeniu tym wzięli udział nie tylko radni, ale i szeroki aktyw z terenu. Wszyscy przyznali że kultura na wieś musi popłynąć tak zwanym szerokim potokiem i że trzeba ją pchnąć na tak zwane odpowiednie tory.

Pchanie na odpowiednie tory, aby mogła (ta kultura) popłynąć tak zwanym szerokim potokiem, odbywało się w naszej gromadzie Ząbki Górne przez trzy tygodnie bez przerwy.

Najpierw na podstawie telefonogramu odbyło się zebranie pracowników gminnej spółdzielni. Aktywista z PZGS wysłany po linii hasła „Kultura na wieś” stwierdził, że kultura na tejże wsi winna popłynąć szerokim potokiem.

— Ażeby to jednak nastąpiło — powiedział — musimy ją pchnąć na odpowiednie tory!

Wszyscy pracownicy GS-u bez wyjątku powiedzieli, że pchną i że popłynie, po czym zebranie skończyło się. Opis protokołu z zebrania zabrał aktywista z sobą.

Następnie problemem pchania i potoku zajęła się miejscowa młodzież zetempowska na zebraniu, w którym wziął udział aktywista powiatowy. Młodzież entuzjastycznie podjęła zobowiązanie przygotowania lokalu, który by mógł służyć jako świetlica gromadzka.

— Słusznie! — powiedzieli. — Kultura nam się należy. Dobrze, że idzie ona na wieś w te zimowe wieczory, kiedy człowiek nie wie, co z sobą zrobić.

Również i pracownicy GOM-u, z których większość była zetempowcami, uczestniczyli na zebraniu zorganizowanym oddzielnie, a poświęconym sprawom kultury. Także i na tym zebraniu oddórny aktywista słusznie zauważył, że aby kultura mogła popłynąć tak zwanym szerokim potokiem, trzeba ją pchnąć na tak zwane odpowiednie tory. GOM-owcy wykazali w pełni dojrzałość kulturalną i przyznali również, że trzeba pchnąć i że potok musi popłynąć.

Przed tygodniem młodzież zgłosiła, że lokal świetlicowy jest przygotowany, że trzeba jakichś sprzętów, gier, a może nawet radia.

— Niestety, koleczy, — powiedział czynnik oddórny — wykombinujcie tam sami coś systemem gospodarczym. I pamiętajcie, żeby pchać na tak zwane tory, bo kultura musi popłynąć tak zwanym szerokim potokiem. Myśmy swoje zrobili. Reszta do was należy.

Odtąd w Ząbkach Górnych panuje spokój.



Jest ci nareszcie ciepło?

„Ullenspiegel” — Amsterdam

Julian Mikołajczak

DZIŚ FRASZKI

PO WYJŚCIU Z TEATRU SATYRY
— „Achilles i panny”? To wręcz wyuzdanie! —
Powiedział i poszedł do jednej z swych panien.

PLANY LAUREATA

Poznańską nagrodę gdy w kieszeni schowa.
Przeniesie się chyba zaraz do Krakowa.

GOŚCINNE WYSTĘPY

Szkoda, że Andrycz opuści znów nas.
Normalne to dzieje. „Cyd” zdarza się raz.

O „LEGIONIE MICKIEWICZA”

Gdy bój aż o legion na scenie się wszczyna,
Na sali niestety zaledwie drużyna.

POWÓD BŁAŁOŚCI czyli rodzinne kłopoty

W jednym z biur amerykańskiego towarzystwa lotniczego na Bliskim Wschodzie zjawił się pewien zażywny wyznawca mahometanizmu prosząc o informacje w sprawie zniżek przysługujących członkom rodziny. Udzielił mu ich skwapliwie informując, że zarówno żona jak i dzieci płać tylko 40 procent ceny biletu.

Gdy jednak patent przysłał do zamawiania kart przelotu, zbladł cały personel.

Okazało się, że zażądał biletów zniżkowych dla... czterech żon oraz dla 12 dzieci. Centralne władze towarzystwa lotniczego zarządziły przyznanie biletów dla żon; natomiast co do dzieci sprawa pozostała nadal otwarta.

KŁOPOTLIWY ŻART

Dyrektorzy pewnej fabryki zapalek w szwedzkim mieście Goeteborg chwycili się za głowę, gdy z poczty zaczęły napływać przesyłki zawierające tysiące pustych pudełek od zapalek. Przez długi czas nikt nie umiał dać odpowiedzi, co jest powodem tego zjawiska. Wreszcie sprawę odkryto. Jakiś dowcipniś rozpuścił pogłoskę, że każdy, kto nadeśle 3000 pudełek od zapalek, otrzyma od fabryki samochód osobowy.



Dzień dobry pani, czy jestem u optyka Kowalekiego? Chciałbym kupić silniejszą szklę.